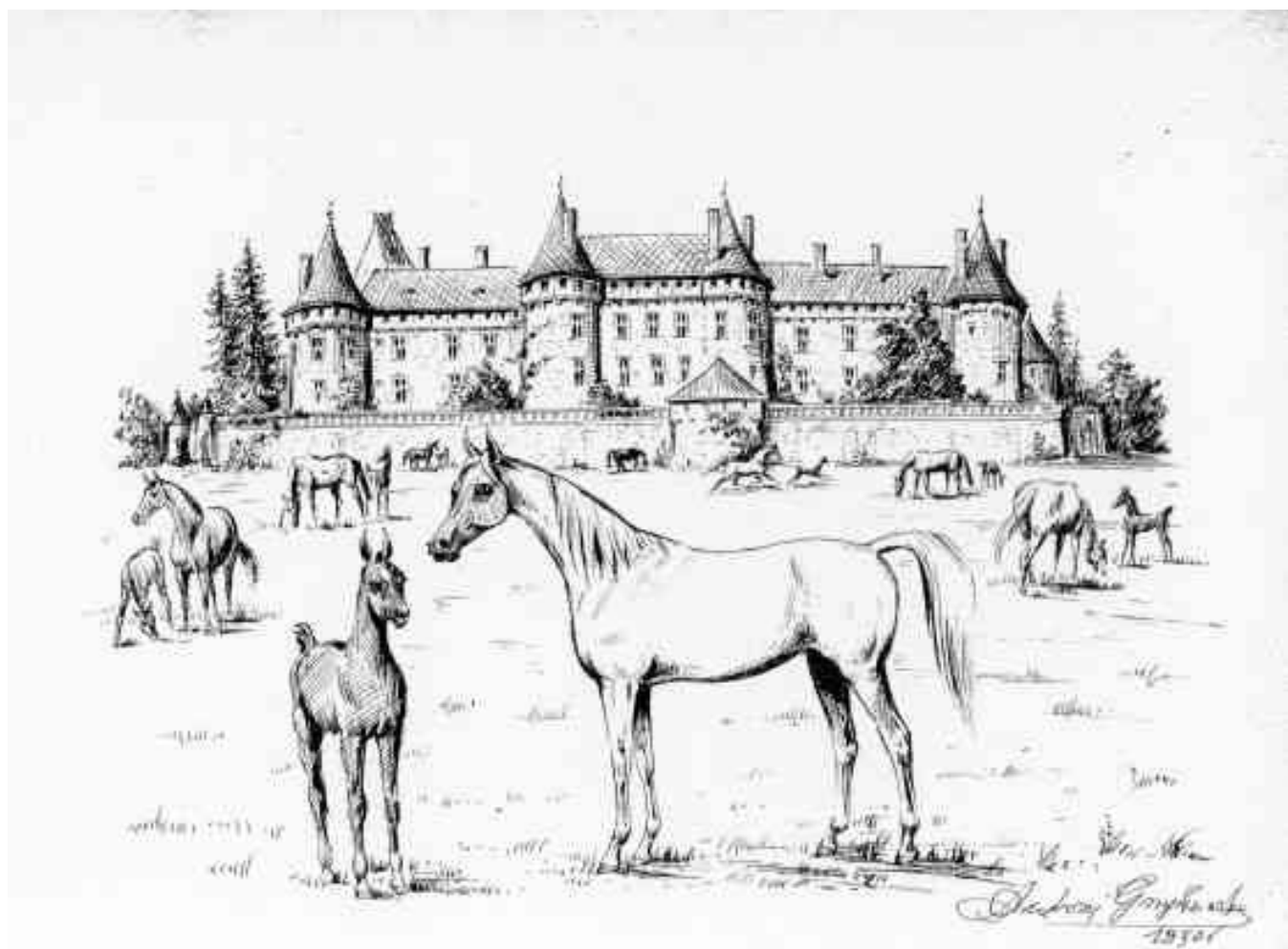


Zofia Kossak-Szczuckia - Stado Emira - fragmenty

Roman Pankiewicz



Stado Emira Rzewuskiego. Rysunek Andrzeja Grzybowskiego.

Koń arabski wychowywany jako źrebię pod namiotami Beduinów, razem z ich dziećmi, jest bardzo łagodny i przyjazny w stosunku do człowieka. Co prawda, niektórzy „zadzierający nosa” twierdzą, że jest on za mały jako wierzchowiec. Ale nasi przodkowie jeździli na arabach w polowaniach za chartami i nic im ten wzrost nie przeszkadzał. Ja sam, mając 180 cm wzrostu, gdy tylko mogłem - jeździłem z ogromną przyjemnością na arabach. Aby jednak w pełni oddać urodę i stosunek tego konia do człowieka, pozwolę sobie przytoczyć fragmenty przepięknego opowiadania Zofii Kossak-Szczuckiej pt. „Stado Emira”:

Zmrok już zapadł, a Rzewuski¹ siedział wciąż nieporuszony. Leżąca na ziemi fajka dawno zgasła. (...) Miał na sobie ciągle jeszcze ten sam mundur, stapiany błotem i krwią, rozerwany bagnetem na ramieniu, w którym przed czterema dniami prowadził szwadron na dziesięćkroć liczniejsze siły generała Rothal. Nie rozdziawał się od tego czasu, nie spoczął, z Daszowa cofając się zbrojnie jednym tchem (...) do Kuźmina, by z Kuźmina przebierać się nazajutrz ku granicy. (...)

Oto uczoney lingwista, muzyk, wielbiciel Napoleona, rotmistrz huzarów austriackich (...), kozacki ataman Rewucha, na koniec emir Tadż-ul-Faher, Abd-ul-Ni-szan, co się po polsku tłumaczy:

¹ Magnat, znany z awanturniczego życia, stu-żył wojskowo, zajmował się naukami, długo przebywał w Arabii, walczył w 1831 r., po bitwie pod Daszowem znikł bez śladu.

Uwieńczony sławą. (...) Prawdziwe jego życie zaczęło się od chwili, w której prowadził swój szwadron do boju z okrzykiem na ustach, nie „La illah el Allah” -lecz „Jezus Maria! Ojczyzna!”... Wtedy dopiero wnuk hetmański poczuł, że duszę swoją odnalazł. Wszystko inne dotychczas, nawet ukochany Wschód, było jeno błędzeniem, szukaniem czegoś, czego nazwać nie umiał, uciekaniem od samego siebie.

Czemuż odkrył tę prawdę tak późno?! Za późno już było na służbę rycerską ojczyźnie, na spłacenie bodaj w części win ojca targowiczana. Wszystko się skończyło. Powstanie zginęło. (...) „Skończone” — rzekł major Orlikowski i odebrał sobie życie pod Majdankiem. Czemuż on, Rzewuski, tego nie uczynił? (...)

Powróciwszy do domu Rzewuski dowiaduje się, że jego stado będzie sprzedane z licytacji, co go załamuje do reszty.

Zapewne - wobec nowego upadku kraju licytacja jego koni była drobiazgiem, a jednak nie mógł opanować się do tyła, by móc o tym myśleć spokojnie. Jego Stado! Jedyna rzecz, jaką dotychczas prawdziwie i gorąco kochał. Bóg jeden wiedział, wśród jakich niebezpieczeństw i trudów zdobywał je na Wschodzie, przeprowadzał z Arabii aż tutaj. A teraz? Jedne zabierze Żyd — drugie pijak isprawnik²... [żaden szlachcic nie kupiłby koni z licytacji innego szlachcica - przyp. R. P.]

Podniósł się nagle, skrzesał ognia i zapalił wyszukaną po omacku latarkę. Wyszedł przed dom na obszerny majdan. Dwór był niski, kryty strzechą, z prostym gankiem wspartym na słupach — ubogi i mały przy wspaniałości wznoszących się o kilkanaście kroków stajen. (...)

Rzewuski przeszedł szybko majdan i pchnął uchylone wrota stajni. Na przeciwległym jej końcu czuwała latarnia. Stajnia była wewnątrz piękna jak pałac, ściany mając wyłożone marmurem, wysokie okna i sklepiony, malowany strop. W szerokich, przestronnych stallach stały tu konie z pustyni. Przywiedzione z gorącej, wolnej przestrzeni, spod pasiastych, biało-czarnych namiotów, jadły tu z marmurowych żłobów i przeglądały się w umieszczonych nad żłobem zwierciadłach. Każdy koń, widząc po raz pierwszy w zwierciadle cud swojej urody, nie pojmował, co może oznaczać milczący, zgodny towarzysz, zawsze ten sam, czekający za dziwnym oknem, lecz przywiązywał się doń, z tym cichym towarzyszem wywołując w niezawodnej, nie zapominającej nigdy niczego pamięci, białość piasków, żar nieba i przestrzeń bez końca. Teraz konie spały, leżąc na słomie lub stojąc z opuszczoną nisko głową. Wacław Rzewuski, emir Tadż-ul-Faher, szedł unosząc w górę lampkę i zatrzymując się przed każdą klatką. Choć stąpał cicho, zaczął go przyjaciel. Z końca stajni zarżał cicho a czule, przeciągle. Emir postawił latarkę i odsunął wrota stali.

Ponad zwierciadłem na marmurowej tablicy złociło się imię ogiera: Obeiet-el-homlu, Neźdi Ko-heyłan, z trybutu Waled Alego, w prostej linii pochodzący od koni Proroka. Koń był maści karej, lśniącej, z gwiazdką na szerokim czole. Nogi, wyskoczna i siadana, białe do pędny — orle pióra — wichry włosów, wróżące o cnoście konia, kładły się na szyi i grzbiecie. Na lewej skroni drobna biała centka — znak nieomylny wielkich przeznaczeń i wysokiej krwi. Na nim siedząc odbierał emir przysięgę na wierność i braterstwo 13 pokoleń beduińskich. Na cześć Obeieta-el-homlu głośny wierszopis Cardin ułożył sonet francuski, a pieśniarz Nasoi Fra-boli poemat arabski. Obeiet-el-homlu piękny był, jak pięknym może być tylko marzenie o cu-dzie-koniu, sen o najistotniejszej urodzie ziemskiej wcielony w doskonały kształt. Jakież stwór Boży świata śmiertelnego piękniejszy być może od konia? Czarowne wygięcie szyi lżejsze jest, niż wdzięczny łuk szyi łabędziej. Niezachwiane w swej słuszności są proporcje głowy, lśniącego tułowia, nóg śmigłych, łączące subtelność kształtu z grą mięśni potężnych, stalowych. Czujne strzałki uszu, ruchliwe, zwrotne, wrogie lub przyjazne, wysłane są puchem miękkim, jak pierwszy włos dziecka. W oczach przytają się tajemnica niezawodnego pojęcia, którym wiedziony odróżni najzawilszą myśl człowieka, chęć, uczucie niewypowiedziane słowami, nie dające się w mowie żadnej wypowiedzieć. Daleki od sprytu lisa, od mądrości przemyślnej psa, kruka lub słonia — koń odczuciem zrozumie więcej, niżli one. Zrozumie po stokroć więcej. Przeniknie duszę człowieka.

Objąwszy ramionami szyję ogiera, emir Rzewuski łkał po raz pierwszy w życiu, cicho, bezradnie,

2 Urzędnik rosyjski

rozpacznie. Przyjaciel obwąchiwał mu twarz i ramiona, muskając je chrapami miękkimi jak skrzydła motyla. Cienka skóra drżała z niepokoju nad strapieniem pana. W sąsiedniej klatce szalał z zazdrości Segławi Gi-dran. Był biały jak śnieg w górach, niemniej piękny niżli Obe-iet-el-homlu, także Koheylan ze sławnego pokolenia Neźdi, lecz nie był synem koni Proroka. Na nim emir triumfalnie wjeżdżał do Alepu. Teraz rozdrażniony i niespokojny, kładł smukłą głowę na wierzchu przegrody, zawracając białkiem oczu czule ku panu, a dziko ku rywalowi. Z drugiej strony ulubiona klacz, zwana Ko-keil Sekeisz, nastawiała uszy parszkając z cicha ze współczuciem nieomal matczynym. Po innych klatkach rozbudzone konie dreptały niespokojnie, prychając.

— Spokojno!!! — wrzasnął z wyrka zaspany stajenny Łucko. Trzasnął batogiem w formie upomnienia i nasunowszy kozuch na łeb rozkudłany, na drugi bok się przewrócił.

Wtulony twarzą w jedwabistą grzywę, Rzewuski gryzł wargi z żalu... Czemu nie wysłał wcześniej stada do Sawrania!? Niby dalekie, niedosiężne zbawienie zabłysł w myśli step sawrański, szeroki, pusty, swobodny. Och, jakże odległy stąd! Będzie przeszło mil 45... Morze burzanów, przerwane skałami, na których ciemnieją wersety Koranu, kute przez Tatarów, co tu ułusem mieszkali. Grzmią kopyta pędzącego stada na płytach kamiennych prastarych grobów-żalników pogańskich. Rzadko dotrze tam kto obcy. Co wiosna przepędzał do Sawrania stado, zimujące tylko w Kuźminie. Dlaczegoż w tym roku się spóźnił?! Maj już przecież, trawa w pas...

Gdy wczesny majowy świt przesiąkać zaczął przez mrok, emir wstał, otrzepał ubranie ze słomy. Ruchy jego były znowu pewne, szybkie, śmiałe, jak na pustym. Przeszedł pustą stajnię otwierając wszystkie klatki po kolei. Wysuwały się z nich zdziwione mądre głowy, smukłe nogi przestępowały ostrożnie obwąchany wprzód próg. Otworzył na oścież wrota. Weszła białość perłowa i chłód dojmujący ranka. Cicho odłożył żelazną antabę, by nie obudzić śpiących twardo stajennych. Wyjrzał na uspioń, cichy majdan. Psy podwórzowe z radosnym skomleniem przypadły mu do piersi. Gładził bezwiednie grube kudły, wracając śpiesznie do stajni. Zawołał na przyjaciela po imieniu, wyszedł z nim znów na dziedziniec. Stał i mówił długo do konia, władczyimi oczami narzucając mu swą wolę, rozkazując, to znów prosząc szeptem błagalnym, miłym.

Aż ogier parsknął na znak, że zrozumiał pana. Rozparł się w nogach szeroko, odrzucił głowę do góry. Niby chorągiew zwycięstwa, wzniosł czarny strumień ogona i zarżał nagle potężnie, mocarnie, dźwiękliwe, zaniósł się, zatkał ni to szloch, zahuczał głosem jak dzwon. Za-grzmiała podłoga w stajni. Na zew pana stada ruszyły się wszystkie konie — stłoczyły we drzwiach, przepały, wylały z ciemnego wnętrza, jak ruchliwy potok. Wypadli za nimi przerażeni, zdumieni stajenni — zabiegli szeroko bokami, by zająć stado od czoła. Lecz kary ogier zarżał raz jeszcze szeroko i ruszył przed siebie w świat. Stado runęło za nim, znów się splątało we wrotach, wywarzyło przęsło wraz ze słupem i niby rzeka wezbrana, niepowstrzymana, szalona, spłynęło, przeszło, zmałało, znikło w białej mgłę poranku.

Teraz dopiero oniemiała z trwogi ludzie zobaczyli stojącego samotnie na dziedzińcu pana. Skinął im głową i wyszedł z obejścia nie spoglądając za siebie.

Piąta doba mijała, gdy kryjący się w głębi werchniackiego lasu rozbitek-powstaniec posłyszał ostrożne stąpanie. Przyjaciel-koń powracał. Nieomylnym instynktem, czuciem wiedziony, odnalazł pana, wykonawszy rozkaz. Parskając przypadł do ręki. Utulił go emir, upieścił. Przyłgnął ustami do nozdrzy, własną opończą wytarł zgrzane boki, z bezmierną wdzięcznością wpatrzył się w oczy zwierzęce, bliższe mu, droższe niż oczy każdego człowieka. Potem wyciągnął spod krzaków swój arabski, lekki rząd, trzęsel z chwastem wiszącym pod szyją i półksiężycem na czole — podpiął popręgi, wskoczył na siodło i ruszyli.

Księżyc czerwony, wielki wytoczył się nisko na niebo, oświecił im drogę tułaczą. Wiatr przeleciał, zaszumiał, powiał wonią stepu, pokłoniły się przydrożne bo-diaki w pas odjeżdżającym.

Stado kuźmińskie do Sawrania dotarło. Ani ono, ani Rzewuski i jego Obeiet-el-homlu do Kuźmina już nie powrócili.